ROZMAITOŚCI WARSZAWSKIE.

Ner 9. DODATEK DO KORRESPONDENTA. Rok 1831

NOWA BRIZEIDA.

(Z tygod. New Monthly Magazine, poszyt wrześniowy.)

Nie raz już porównywano dawnych Hellenów z nowymi Grekami, a pomimo głębokiej otchłani wieków i wypadków, jaka ich rozdziela, spostrzegano w ich dobrych jako i w złych przymiotach wyraźne podobieństwo, tak, iż nic nie może być silniejszym dowodem nieskazitelności moralnej natury człowieka, jak ten naród, który największemu oddany zepsuciu, znieważony, znikczemniony, i w dziejach za politycznie nieistnący ogłoszony, jedną razą znowu powstaje, a przez czyny swoje jako i wewnętrzne niezgody, przez umysłową i fizyczną piękność jak i dzikie namiętności swoje, przez płochość jak i chytrość swoją, powtarza niejako najpiękniejsze i najgorsze czasy dawnej Grecyi. Następująca historya wydarzona w Smyrnie w miesiącu maju r. b. przywodzi żywo na pamięć wspomnienie wypadków zaszłych przed 2500 laty, a walka o służącą grecką, niechaj nam przypomni gniew Pelidesa o uprowadzoną Brizeidę.

Lady S** katoliczka ze Stambułu i zaślubiona kupcowi angielskiemu ze Smyrny, przyjęła do służby grecką dziewczynę rodem z wyspy Cerigo. Dziewczyna ta była młoda i piękna, i posiadała wszystkie te naturalne powaby jakie ludowi greckiemu nawet w niższych klasach są właściwe; nadto była pełna rozsądku, posłuszna i uczciwa, i umiała sobie pozyskać zupełną przychylność swej pani, najmilszej w świecie kobiety.

Interesa powołały jej męża napowrót do Stambułu, i już był poczynił wszelkie przygotowania do odpłynienia z całą rodziną swoją, kiedy jednego dnia piękna Cerigotka, zawiadomiwszy dawniej jeszcze panią swoję o prześladowaniach jej krewnych, narzucających jej męża którego nie kochała, rzuciła się przed nią na kolana, i ze łzami, z największem wzruszeniem zaklinała, aby ją z sobą wzięła do Stambułu i nie dozwoliła zmuszać ją do małżeństwa, którém się brzydziła.

Kiedy Lady S** odmówiła zrazu jej prośbie, młoda Greczynka oddała się najokropniejszej rozpaczy; rozdzierała piękną twarz swoją, wyrywała sobie włosy i zaprzysięgała się na Boga i wszystko co jej mogło być najmilszem, że rzuci się w morze za okrętem, który panią jej z portu Smyrneńskiego oddali: gdyż ten był jedyny środek, którymby znienawidzonego przymusu uniknąć mogła.

Lady S** uczyniła nareście to, coby każda czuła pani w jej miejscu była zrobiła, i przyrzekła, za zezwoleniem męża swego, pięknej Katinko, — tak się nazywała ta dziewczyna,— że ją do stolicy państwa Tureckiego z sobą weźmie. Radość i wdzięczność wynurzyła młoda Greczynka z równie gwałtownem wzruszeniem, jak pierwej zgryzotę swoją; ściskała ręce i nogi swej pani, i przysięgła że do ostatniego tchu życia swego z przywiązaniem i posłuszeństwem wierną jej pozostanie.

Żywa Angielka lub Niemka przy podobnej okoliczności tych samych może użyłaby wyrazów, toż samo objawiłaby wzruszenie, ale pe-

wno niższą okazałaby się od pięknej Cerigotki w burzliwej popędliwości, i jeżeli rzec mogę, w miłej namiętności. W czasie długiego mego pobytu na Wschodzie miałem nie raz sposobność uważać namiętny żar w sercach Greczynek. Widziałem gwałtowny ich żal, szaloną rozpacz i nagłe przejście do nieograniczonej radości i nadziei; a we wszystkich tych stopniowaniach mocno zdumiewałem się nad żywością, jaką serce greckie pałać może, lubo poznałem także naród południowych Włoch i Sycylii, któremu nikt flegmy nie zarzuci. Przy wszelkim jednak wybuchu ich namiętności, plastyczna, albo, że innego użyję wyrazu, klasyczna piękność w każdem poruszeniu, w każdej postawie, szczególnie mnie zachwycała. Najpospolitszem okazaniem żalu było wzniesienie załamanych rąk nad głową i zachowanie tej postawy, tak właśnie, jak na dawnych pomnikach i urnach widzimy wyobrażone kobiety przy obchodach pogrzebowych. Widziałem w Smyrnie tłum kobiet roznoszących swe żale nad śmiercią dziecięcia, w giestach i wyrazach takich, że kobiety te lubo były z pospolitego gminu, silnie mi jednak przypomniały Homera i greckich poetów tragicznych; a na małej wyspie Milo znajdowałem się raz na pogrzebie, któremu nie tylko towarzyszyły wszystkie obrzędy o jakich nauka starożytności wspomina, ale nadto płaczące postacie orszaku tworzyły istotnie gruppy, które zdawały się być utworem dłóta klasycznego, a potem jakby przez Prometeusza iskrą życia i ruchu ożywionemi. Nic nie zatrze wrażenia, jakie szczegulniej na duszy mojej zrobiły najemne płaczki, które przed uwieńczonem kwiatami postępowały ciałem, bijąc się w piersi i włosy sobie wyrywając; nad wszelkie atoli opisy wznioślejsze i czulsze były ostatnie chwile, nim ciało na łono macierzystej oddano ziemi: tu krewni pochwycili jeszcze raz drogie zwłoki zmarłego, uściskali je i płakali— i zbytkowali jak Andromacha z przepełnienia żalu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROŚLINO-ZWIERZĘ.

Dzienniki włoskie donoszą, że w głębi Afryki znaleziono zwierzę, które jeżeli nie należy do historyi naturalnej Chimer, tworzyć powinno przejście z królestwa roślin do królestwa zwierząt. Rzadka ta istota ma być podobna do nakrapianego węża. Wije się po ziemi, a w miejscu głowy ma kwiat dzwonkowaty, zawierający w sobie sok lipki. Komary i inne owady słodyczą jego zwabione, włażą w ten kwiat, i tamże więzną, poczem kielich się zamyka i zostaje w tym stanie, dopóki ułowione zwierzątka zgniecione na miazgę, w sok mleczny się nie zamienią. Części niestrawne, jako to: główki i skrzydełka owad, wyrzucane są dołem delikatnemi kanałami. Wąż ten roślinny ma skórę podobną do liści, białe i miękkie mięso, a zamiast kości żółtawym śpikiem napełnione chrząstki. Mieszkańcy tameczni robią z tego wyborną potrawę.

MARQUESA LADRONA.
(Ciąg dalszy).

Na ostatnim stopniu schodów rzekł Gustaw do nieznajomej: Moje imię jest Gustaw, a jakie jest twoje?

Zmieszała się na chwilę.

— Twoje imię, Segnora?

— Karolina.

Wszedł potem śmiało do sali, a widząc pomieszanie swojej towarzyszki, rzekł z lekkością właściwą Francuzom: No, Karolino, zbliż się przecie do tych panów! Nie zarumieniłażeś się wtedy, kiedym cię pierwszy raz po imieniu nazwał.... A gdy się Ventero do niej przybliżył: — O mój Boże, nie zważajcie na to, Panie Ventero, ona się przyzwyczaiła do tego we Francyi.... i od tegoto czasu boi się swoim ziomkom w oczy spojrzeć, jak *Negro* jeden (liberalista) ośmielił się nazwać ją *Afrancesada* (zfrancuszczona Hiszpanka), za które to wyrażenie bezwstydnik pchnięciem sztyletu przypłacił.

— Bardzo dobrze, Segnor Caballero! zawołał Don Guarames, podając rękę Gustawowi.

— Jednakże, dodał Gustaw, jako chirurg i

Francuz, wyleczyłem go w kilku dniach. Stało się to w Figueras. Jegomość ten nazywał się Józef Marya Ferrer. — No, moja głupia kobietko, mówił dalej, uścisnąwszy Karolinę i posadziwszy ją na stołku,—pokaż przecie tym panom, że równie jesteś dobrą Hiszpanką, jak ja dobrym Francuzem.

Tu nieznajoma rzuciła na schody tak wyraźnie mówiące spojrzenie, jakby najdobitniejsze słowa, poczem z cicha rzekła do Gustawa: — Wiesz kochany Gustawie, żeśmy naszego przyjaciela umierającego na górze zostawili.

— Umierającego! zawołał Gustaw.... A ja ci mówię, że mu nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Zdawało się teraz, że Karolina więcej obawiała się jeszcze przytrzymania niż śmierci męża swego: mówię męża, bo Gustaw nie wątpił już, że to był mąż towarzyszki jego.

— Oto dla Pani dziecka, — rzekła Ventera, kiedy wszyscy a nawet Arriero zasiedli do stołu, wskazując na pewien rodzaj ciasta cukrowego w smaku podobnego do biszkoptu sabaudzkiego (*zucarilla* czyli *azucarilla)*, i na wielką filiżankę świeżego mleka.

— Dziękuję wam, Segnora, odpowiedziała Karolina, a lekki uśmiech wkradł się na jej usta.

— Teraz,— rzekł Ventero, usłużywszy swoim gościom, i biorąc w usta pierwszy kawałek mięsa,— opowiedzcie nam, jakeście tych łotrów ze świata zgładzili.

— Chętnie, odparł Gustaw; ale musimy także pójść pogrzebać zabitych i sprowadzić pojazd pocztowy z rzeczami. Jabym sam poszedł, gdyby....

— Nie, przerwał mu Don Guarames, ja pójdę, ja, chociaż tak stary jestem, z Pedrillem i tym rzeskim Arrierem, który jest moim przyjacielem, lubo już nieco *exaltado* (zestarzały Liberalista); a jak on się wmięsza.... Pan musisz tu pozostać i mieć staranie o swoim rannym....

— Ja gotów jestem zastąpić Pana przy chorym, Segnor Francese, rzekł brat Izydor.

Gustaw skłonieniem głowy podziękował Dominikanowi.

— Dwa moje muły są do usług jego, rzekł Arriero, ale przysługa ta jest tylko dla męża pięknej Hiszpanki, nie zaś dla Francuza.

— Niech i tak będzie! odparł Ventero; a teraz zaczynaj opowiadać, Segnoro.

Gustaw odsunął talerz z przed siebie i zabrał głos:

— Wyjechaliśmy z Solsony o godzinie 2 po południu w dosyć złym pojeździe pocztowym, do którego zaprzężone były dwa muły i konjeden. Ja, Segnora i jeden Dominikanin.... siedzieliśmy w samym powozie.

Tu zakonnik głębokie wydał westchnienie, a Gustaw przerwał swoje opowiadanie, sądząc że usłyszy mowę pogrzebową, i dopiero po dwóch lub trzech minutach, ciągnął dalej swoją relacyą.

— W Rotundzie siedział młody student z Sewilli, i dwóch żandarmów górnych, którzy na granicy przyłączyli się do pojazdu w celu towarzyszenia mu aż do Barcellony.... Łatwo się domyślić możecie, że ten młodzieniec pragnął mocno awantury jakiej z rozbójnikami, a ja sam byłbym może o tem pomyślał, gdyby mię był los na jego postawił miejscu: bo człowiek śmiały woli umrzeć stojący, niż siedzący (*) i woli utracić życie z rąk rozbójników, niż być zamęczonym przez ludzi uczciwych.

— Ponieważ muły nasze były bardzo strudzone ujechaliśmy w godzinę tylko 1 milę, i już była godzina 6 z wieczora, kiedyśmy przybyli do murawy *la Horca de Tora*.

—*Demonio !*, zawołał Arriero, już ja się temu nie dziwię; była to banda Filipa.

Karolina trzymając szklankę w ręku upuściła

(*) W Hiszpanii skazanych na śmierć, sadzają na drewnianym stołku z poręczami, a szruba horyzontalnie ściska im gardło i tym sposobem udusza.

ją przy tych wyrazach na talerz, tak że się stłukła.

— Dalibóg, rzekł Gustaw śmiejąc się, kobieta ta zawsze się lęka, — Uchwycił potem rękę Karoliny i już jej nie wypuścił, sądząc że tylko w przytomności Filipa może na jej śmiałość liczyć.

— Nie wiem co się to ma znaczyć z tym Filipem, i nie chcę ja także mieć zaszczytu, poznać go; ale czy to z jego bandy czy też z innej wyleciała do nas kula, właśnie gdyśmy koło miedzy przejeżdżali; woźnica spadł zaraz z konia, którego jeden z tych panów uchwycił za cugle i wstrzymał. Ja miałem dwa pistolety, z jednego wystrzeliłem do rozbójnika, który też natychmiast upadł przy koniu, aby już więcej nie powstać. Pojazd pocztowy ciągle jednak stał jeszcze zatrzymany, a w tem ujrzałem sześciu mężczyzn wychodzących z ścieszki i z wymierzonemi karabinami zbliżających się ku nam. Pozwoliliśmy im przystąpić o 10 kroków, poczem zakonnik dał ognia ze swoich dwóch pistoletów, a ja z mojego drugiego. Jeden z nich został zabity a drugi raniony w nogę, tak że obadwaj upadli na ziemię, czterej zaś inni powitali nas czterema kulami, z których dwie przeszyły poduszki pojazdowe, przeleciały tuż nad samemi głowami naszemi i zabiły obudwóch mułów.

— A Segnora, przerwał handlarz mułów.

— O! odparł Gustaw, Segnora musiała z z dzieckiem swojem zająć miejsce przy nogach naszych, gdzie przez fartuch skórzany od pojazdu zasłonioną była. Bylibyśmy jednak może nie uszli ich pięknych rączek, bo obadwaj ci panowie mieli nabite pistolety, gdyby żandarmi i student nie byli im z tyłu zaszli, przez co ja miałem dosyć czasu wyskoczyć z zakonnikiem z pojazdu wtenczas kiedy oni się ku samtym obrócili. Uzbrojeni pistoletami poległych, uderzyliśmy więc na tych czterech łotrów z boku. Nieszczęściem jednak towarzysze nasi polegli, nie zabiwszy tylko jednego z tych panów, którzy w tej chwili obrócili się ku nam kiedyśmy strzały puścili; jeden tylko został trafiony, chociażeśmy tylko o 4 kroki od siebie byli odlegli. A ponieważ także i mój zakonnik w sekundę potem padł bez duszy na ziemię, sam więc miałem do czynienia z dwoma, z których jeden, jak sądzę, naczelnik bandy.....

— Mały, brunet, blady na twarzy, nie tak? zawołał Arriero.

— Tak jest, odpowiedział Gustaw.

— To djabełek, który wielkie ma szczęście, dodał Arriero.

— Powiedz raczej, że je miał, odpowiedział Gustaw, ponieważ sztyletem powaliłem go na ziemię, i wątpię, aby się jeszcze z niej podniósł, chyba dla tego, aby zaraz do grobu wstąpił; drugi spodziewając się tego samego, zemknął zostawiwszy nawet swój karabin.

— Bogu dzięki! mruknęła Ventera.

— Bogu chwała! zawołał Don Guarames.

— Brat Izydor nie powiedział ani słowa.

— Dalibóg, zakonniku, rzekł Gustaw zniecierpliwiony, i mając go zawsze na uwadze, zdaje się, że mało cię obchodzi ta katastrofa, w której ojciec z waszego zakonu życie utracił.

— Mylisz się panie chirurgu,— odpowiedział brat Izydor tonem spokojnym, który zupełnie się nie zgadzał z jego ognistem spojrzeniem,— modliłem się za ojca któregom utracił......

— Gustaw rozśmiał się ironicznie. Zakonnik to zważał.

— A potem,— mówił dalej— myślałem także o tém, że nam nic dotąd nie wspomniałeś o swym przyjacielu, rannym na górze....

— To prawda, odpowiedział Gustaw.... Ale zapewne musieliście się domyślić, że nim jest ów student.

— Pewno, rzekł Ventero.

— Niezawodnie, mówił Arriero.

— Tak jest, dodał brat Izydor.— A że siedział między Venterą a Gustawem, szepnął więc temu ostatniemu do ucha: »Widzisz, panie chirurgu, ja nie jestem tak podejrzliwym jak wcpan!«

— Dziękuję zakonniku,—mruknął Gustaw półgębkiem, położywszy palec na ustach.

(Dalszy ciąg nastąpi.)